

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Z DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.

Jak budować dom.

Dom, chata, budynek, gmach — są to przedmioty, z których każdy z nas stale korzysta i widzi na około siebie. W nich objawia się najwyraźniej stopień kultury danego człowieka i społeczeństwa, po nich poznaje się najlepiej, jakie posiada potrzeby i w jaki sposób potrafi zadość im czynić, łącząc naukę (technikę) ze sztuką. Sądzimy przeto, że szereg artykułów o budowaniu domów, skreślony przez wytrawnego znawcę budownictwa będzie dla czytelników «Wieczorów» rzeczą zarówno zajmującą, jak pożyteczną.

WSTĘP:

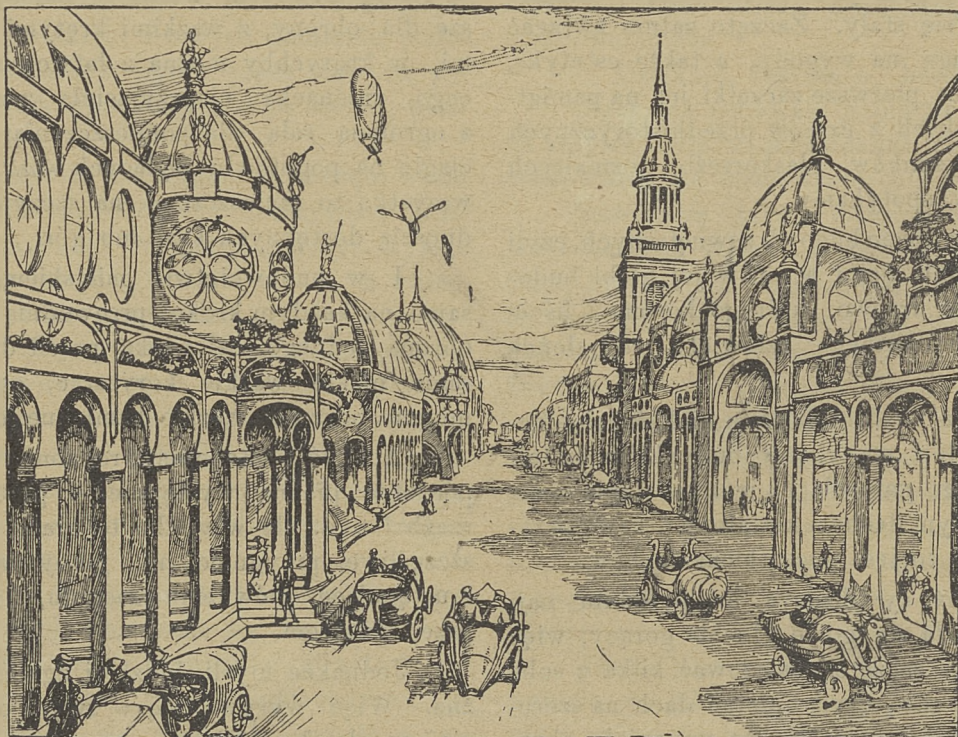
O budownictwie wogóle.

Każda istota wskutek instynktu zachowawczego szuka wszystkiego, co sprzyja jego roz-

wojowi, a chroni go od szkodliwych wpływów zewnętrznych. Jednym z najważniejszych warunków rozwoju jest posiadanie własnego schronienia, zabezpieczającego od nie zawsze pożądanых wpływów atmosfery i nieproszonych gości, czyhających na życie lub mienie.

Stąd też u wielu zwierząt widzimy już rodzaj budownictwa, t. j. celową działalność ku urządziu sobie takich schronisk czasowych lub stałych, ale że temu przedmiotowi „Wieczory“ już wcześniej (p. rocznik 1904-y) poświęciły cały szereg artykułów, do których odsyłamy ciekawych czytelników, obecnie przejdziemy odrazu do budownictwa u ludzi.

* * *



Ulica wielkiego miasta w roku 2000-ym.

Już badania czasów przedhistorycznych, wskazują różnorodne ślady pierwotnych mieszkań człowieka; naturalnie pierwsze te mieszkania, jako najłatwiejsze do wykonania, znajdowały się pod ziemią.

Jako pierwowzór do takich schronień, służyły naturalne grotty i podziemia, zamieszkiwane przez ludzi, w tych czasach, kiedy jeszcze sami budować nie umieli wcale, lecz tylko korzystali z gotowych, przez przyrodę wytworzonych pieczar i jaskiń.

Grot takich ręką ludzką robionych jest bardzo wiele na świecie. Np. na całym prawym brzegu Dniepru, w krzemionkowej glinie, bardzo się do takich robót nadającej, istnieje ich dużo a największe, są tak zwane „pieszczery“, pod Ławrą Kijowską, które gdyby wyprostować w jedną linię, kilkadziesiąt wiorst-by się ciągnęły.

W Szwajcaryi, północnych Włoszech itd. poodkrywano szeregi pali, niezmiernie starożytnych, które wyłoniły się po opadnięciu wód. Widocznie w miarę rozwoju zdolności umysłowej człowieka służyły, jako fundamenty dla mieszkań nawodnych. Domki takie nad wodą w oddaleniu od brzegu wystawione i z brzegiem tylko wązkim mostkiem złączone, doskonale zabezpieczały mieszkańców nie tylko od najścia dzikich zwierząt, ale i od napadu wrogich plemion. Był to więc drugi typ mieszkań.

Z czasem zabezpieczanie się od najścia nieprzyjaciela ustąpiło na drugi plan, przy połączeniu się bowiem większych grup ludzi w wielkie społeczności, a następnie w państwa, życie i mienie pojedynczych mieszkańców, bezpieczniejszemi się stały. Zaczęto zatem zwracać większą uwagę na wygody, a także estetykę, której wszakże pierwsze zaczątki już na pamiątkach i zabytkach z czasów przedhistorycznych w postaci rysunków, płaskorzeźb, rozmaitych ozdób i t. d., spotykamy.

Pierwowzorem budowli zewnętrznych, czyli na powierzchni ziemi a nie w jej głębi budowanych, było drzewo, którego korona i liście zasłaniały pierwotnego człowieka od słońca i deszczu.

Stąd też po dziś dzień u niektórych afrykańskich ludów spotykamy budynki w kształcie ogromnego parasola na jednym słupie opartego z okrągłym dachem kształtem drzewo przypominające, i to jest początkiem dachów.

Ponieważ cywilizacja na południu najprzód rozwijała się, gdzie klimat gorący, więc z kolei rzeczy zaczęto naśladować kilka z sobą złączonych drzew, czyli opierać dach na szeregu kolumn; tak powstały owe wspaniałe akropole greckie.

Z czasem powstały dopiero ściany, a następnie drzwi, a już znacznie później okna.

Najwspanialej, budownictwo rozwinęło się w odległej starożytności w Asyrii i Egipcie, a prawdopodobnie jednocześnie w Indyi i Chinach. Budynki te ogromnym nakładem pracy ludzkiej z olbrzymich głazów wznoszone, o ile nie były niszczone umyślnie barbarzyńską ręką, do dziś dnia budzą podziw zwiedzających.

Później w Grecyi i Rzymie estetyka budownicza doszła do takiej wysokości, że nawet obecnie dorównać jej trudno, zwłaszcza w owych przepięknych kształtach i cudnej niedoścignionej harmonii linii, spokojnej, poważnej, a tak pogodnej i prostej. W owych czasach w tych krajach o łagodnym klimacie pocucie piękna było tak rozwinięte, że na estetykę zwrócona była główna uwaga. Wspaniałe kolumnady, przepyszne atrium i t. d., wyglądały pięknie, ale obecnie nawet średnio zamożnemu człowiekowi, a tembardziej rodzinie, byłoby trudno i niedogodnie w tych wspaniałościach się urządzić i mieszkać.

Nastają wieki średnie, upada znajomość sztuki greckiej pod najściem narodów barbarzyńskich. Zmniejsza się bezpieczeństwo publiczne, i każda jednostka o swojej osobistej obronie przedewszystkiem myśleć jest zmuszoną.

Odbija się to zaraz na budownictwie, jako najwierniejszem zwierciadle danej chwili i okoliczności.

Powstają więc obronne zamki, o potężnie grubych murach i ścianach, z małenkimi wązkimi okienkami porozrzucanymi różnorodnie w tych miejscach, które są najodpowiedniejsze dla obrony, z wązkimi krętymi korytarzami, w którychby można z łatwością napadającego zniemacka nieprzyjaciela powstrzymać, z ogromną salą dla pomieszczenia zbrojnych, ciągle na pogotowiu będących (*salle d'armes*); wszystko to umieszczone na szczytach z trudnością dostępnych skał lub gór.

I w budownictwie miejskiem widać to samo na każdym kroku: przewodnią myślą jest obrona jednego człowieka przed drugim. Te same nizkie wązkie korytarze, ogromne kamienne odrzwia, wązkie kamienne schody i t. d.

A choć i wtenczas wrodzone człowiekowi pocucie piękna występuje w postaci ozdób, rzeźb i t. d., ale wszystko to zrazu słabe, nieszczęśliwe, przygniecione, jakby wystraszone i ustępujące głównemu zadaniu, t. j. obronie przed gwałtem.

Jednakże myśli ludzkiej zgnieść nie można. Więc wyrывa się w swym orlim polocie wysoko ku niebu, marząc o szczęściu i swobodzie na tamtym świecie.

Ujawnia się to zaraz w budownictwie i jednocześnie z grubemi, ciemnymi ponuremi zamkami i kamienicami, powstają strzeliste wieżycy świątyni gotyckich (ostrołukowych), rwące się ku Bogu gdzieś wysoko, sięgające niebios.

Tymczasem wynalazek prochu zmienia sposób walczenia. Utrwała się ład, porządek w państwach; władza centralna zdolna jest zabezpieczać spokój i sprawiedliwość w kraju, jednostka nie potrzebuje drzeć ciągle o siebie i myśleć o własnej obronie.

Więc znowu budownictwo odzwierciedla nową epokę. Nie bojąc się już swego sąsiada rozbójnika, trzymanego w ryzie, przez prawo i królewskich żandarmów „gens d'armes“, obywatel, budując sobie dom mieszkalny, zaczyna zwracać główną uwagę, na wygodę i piękno.

Powraca prosta, swobodna, pogodna harmonia linii greckich i rzymskich, zastosowana jednak do odmiennych warunków klimatu i otoczenia: w ten sposób powstaje styl odrodzenia „renaissance“.

W zniewiesiałej epoce Ludwików XIV-go i XV-go, budownictwo odstępuje od form klasycznych, następuje moda przeładowania ozdobami (barok).

Nareszcie wybucha rewolucya francuska, epoka Napoleońska. Powstaje styl cesarstwa Empire, niezupełnie udatne naśladownictwo form rzymskich.

Z upadkiem Napoleona budownictwo demokratyzuje się. Budynki, w których główna uwaga zwrócona bywa tylko na wygodę i taniość zwłaszcza w miastach, budują się z mniejszą dbałością o piękno. Powstają więc całe szeregi jednakowych gładkich, równych kamienic, podobnych do kawałków mydła przez maszynę pokrajanych i dla wyschnięcia obok siebie ustawionych.

W ostatnich za to czasach zaczęto zwracać uwagę na zdrowotność i rzeczywisty komfort jak na przykład wygodne schody, wyższe sufity, większe okna, łazienki i t. d., a z drugiej strony i na zewnętrzny estetyczny wygląd. W każdym razie zadaniem współczesnego budownictwa jest połączenie wymagań higieny i komfortu z prawdziwem pięknem, zastosowaniem do warunków otoczenia, wpływającym z poczucia estetycznego każdego narodu, a nie wyłącznie naśladowania innych obcych wzorów.

U nas w Polsce, o ile budownictwo murowane na ogół wzorowało się na stylach panujących w Europie zachodniej, o tyle budownictwo drewniane, które dzięki obfitości lasów najbardziej się rozwinęło, nosiło i nosi dotąd w wielu okolicach, zwłaszcza w Tatrach, cechy samodzielne, czysto narodowe, które współ-

cześni artyści, architekci starają się z powodzeniem rozwijać i stosować.

A jakim będzie budownictwo przyszłości, za jakie sto lat? Trudno to przesądzać? Bardzo być może, że ulice i pojedyncze domy będą wyglądały tak, jak to na załączonych widzimy rycinach.

(c. d. n.)

St. Br.



Wspomnienia z lat młodości.

przez St. Br.

(Ciąg dalszy.)

Otóż proszę sobie wyobrazić moją radość, gdy coś po tygodniu na polankę, na której robiłem ćwiczenia, nadszedł sam pan major w towarzystwie Naczelnika, który właśnie objechał uczące się oddziały.

Ujrawszy go z daleka, dobyłem pałasza, a ustawivszy swoją wiarę jako tako we front, zakomenderowałem: bacność! na ramię broń! a gdy już byli przed samym frontem: prezentuj broń!

A że pierwaj dla zgodności ruchów kazałem trochę zluzować skówkę, antaby do pasków i szyjki od bagnatów, jakoś tak się szczęśliwie udało, że karabiny brzękły jak jeden.

Ćwiek podkręcił wąsa, a Murdelio, dobywszy pałasza, sam poprowadził komendę, a gdy po nabiciu ślepymi półładunkami huknęło jak jeden strzał, uśmiechnął się i rzekł z zadowoleniem:

— Dziękuję, doskonale, bardzo dziękuję.

Otrzymał pochwałę przed frontem od pana majora, była to niesłychana rzadkość, więc uradowałem się niezmiernie.

Kawalerję także ćwiczone energicznie przez naszych starych kawalerzystów, ale z ludźmi, którzy przeważnie z konną jazdą i obchodzeniem się z koniem praktycznie obeznani byli, szło daleko łatwiej niż z końmi. Konie bowiem była to w całym znaczeniu tego słowa zbierana drużyna, większe i mniejsze, gniade i kasztany, a nawet bywały i siwe, które jednak starano się o ile możności wymieniać, albowiem siwe konie z daleka na ciemnem tle lasu odcinają się wyraźnie. Później naodwrot z nastaniem zimy i śniegów, pożądane były właśnie siwe konie.

Ale najgorzej działo się ze zwrotami, stawianiem na pikietach, podjazdami i t. d. Konie z jednej stajni, których nieraz po kilka od zamożnych obywateli dostawaliśmy, lubiły swoje towarzystwo i koło siebie chodzić, więc

rozstawiały się z sobą niechętnie, a witały przy powrocie radosnem rzeniem. Już prawdziwem nieszczęściem było, jeżeli takie dwa konie stały na pikietach w takiej odległości, że się widzieć i czuć mogły, zaraz bowiem rozpoczynało się powitanie, a potem rozmowa i rwanie się do siebie, tym zaś oznakom przyzwyczajenia do towarzyskiego życia nieszczęsny kawalerzysta z palcem na cynglu nie zawsze podołać potrafił, więc wychodziły stąd rozmaite niedokładności, często kończące się burą, pilnującego pikiet oficera ludziom, a od nich burą dla wierzchowca.

Wogóle jednak przywiązywano się do koni, lubiano je i obchodzono się z nimi dobrze.

Obóz nasz przez cały ten czas był otoczony łańcuchem widet pieszych, pikiet konnych rozstawionych daleko od centrum, wszystko to ukryte w gąszczach leśnych, a oprócz tego rozjeżdżały poczty narodowe cywilne, kurjerki, włościanie, żydzi i t. d., pewni zatem, że o każdym ruchu wojsk będziemy zawiadomieni, staliśmy sobie zupełnie spokojnie i bezpiecznie.

W owym czasie spotkała mnie zabawna przygoda, a mianowicie: kiedy raz wracałem z manewrów sam wąską dróżką leśną, z gąszczu wyszedł jakiś ogromny szlachcic z białą brodą i schwyciwszy konia za cugle obu rękami, zapytał:

— A gdyby tak na mojem miejscu był nieprzyjaciel, to co byś zrobił?

A ja na to:

— Pałałbym mu w łeb!

I momentalnie złożyłem się z rewolweru do niego. Szlachcicowi to się okrutnie podobało, tak że na drugi dzień przywiózł mi parę butelek starego wina, o którym mówił, że nawet zabitego wskrzesi i co niemiara rozmaitych zakąsek.

Nareszcie pewnego dnia rano przed wschodem słońca zagrały trąbki poranną pobudkę, a po odmówieniu dłuższej niż zwykle modlitwy, przy rozwiniętych sztandarach odezwała się trąbka na wymarsz, odezwała się znana komenda Murdeliona: „kolumna maaarsz!“ jak zwykle cienkim ochrypłym głosem, z kogucikiem na końcu wymówiona, i ruszyliśmy w pochód.

12. W Radomskim.

Po paru tygodniach ciągłych pochodów i alarmów, przeprawiliśmy się przez Wisłę i przeszli w Radomskie, tam połączyliśmy się z partją Gromeyki i Rudowskiego. Razem było nas około ośmiuset ludzi i to ludzi doświadczonego, a jak na partyzantów wcale nieźle wyćwiczonych. Mieliliśmy nawet armatkę w praw-

dzie wiwatówkę, którą jeden koń ciągnął i jeden artylerzysta obsługiwał.

Ruszyliśmy tedy w Iłżeckie lasy, gdzie nastąpiło pierwsze starcie, a raczej alarm. Gdy bowiem pikiety nie strzelając dały znać, że od Iłży posuwa się jakiś mocny oddział kawalerji, Murdelio z dwoma dragonami Gromeyki wyjechał sam na rekonesans.

Noc była tak ciemna, jak to się zdarza niekiedy w lecie, że — jak mówią — końca swego nosa nie widać, więc major podjechał stępa i zbliżył się na parę kroków od owego oddziału. Widocznie z obu stron nie wiedziano, kto naprzeciwko stoi.

Wtenczas major gromkim głosem zapytał: „kto?“ odpowiedziano mu „draguny Ekaterynosławskawo połka“, na co Murdelio, który trzymał rewolwer na pogotowiu, pałnął do nich dwa razy i jak mówiono zsadził z konia dwóch. Towarzysze dali jednocześnie ognia, a dragoni skłębili się i pędem poleciecieli nazad, major zaś ze swymi do obozu powrócił, za nimi przygalopowały trzy ogromne kare dragońskie konie, które też połapano i odtąd u nas służyły. Ja o tem wszystkim dowiedziałem się dopiero na drugi dzień rano, gdyż nie będąc dyżurnym spałem doskonale.

Szliśmy sobie tedy dalej, alarmując po drodze kawalerją, załogi rosyjskie, jadając w miasteczkach lub wsiach, otwarcie i w biały dzień.

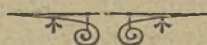
Kraj cały z wyjątkiem miast, w których stały wojska rosyjskie był w ręku władz narodowych, które jawnie występowały, tak dalece, że przejeżdżające żony wojskowych i urzędników rosyjskich, brały pasporty od Rządu Narodowego, a czasami zdarzało się nawet, że przechodzące wojska udawały się z prośbą o podwodę dla rannych, albo środki lecznicze i t. d. do Polskiego Naczelnika powiatu, który im nie odmawiał, często także zostawiali swych rannych na opiece pana Naczelnika.

W ogóle w owych czasach, mimo zbrojnej walki, jakiejs osobliwej nienawiści nie było, owszem z jeńcami i rannymi obchodzono się jaknajlepiej, uważano ich jak gości i traktowano odpowiednio.

Dopiero po powstaniu wskutek rozwinęcia srogiego i okrutnego postępowania ze zwyciężonym narodem, a zwłaszcza po zalaniu całego kraju przez obcych i najgorzej usposobionych urzędników, dążących do wynarodowienia, nastąpiła doba głuchej do nich nienawiści.

Po długich marszach, stanęliśmy nareszcie we wsi Kowale, o milę drogi od Radomia należących do państwa Deskurów.

(d. c. n.)



Listy ze Lwowa.

IV.

Lwów, 12. V. 06.

Moja Martynko! Ostatni dzień we Lwowie. Zostałabym tutaj chętnie dłużej, tak jestem ciągle pod urokiem miasta, ale rodzicom śpieszy się do domu. Zwiedziliśmy już wszystkie rzeczy godne widzenia i na dziś został jeszcze tylko gmach sejmowy i zakład Ossolińskich. Obejrzenie tych gmachów odkładamy na później, ranek zaś poświęcamy z mamą sprawunkom i „włóczeniu się“ po mieście.

Oj, ale nie wszystko złoto, co się świeci! Przy bliższym poznaniu Lwowa uderzać nas wszędzie zaczyna brud i nieporządek.

Stróże domów z „fachu“ nie istnieją—tak zwani dozorczy mają swoje poboczne zajęcia, to też śmiecie, kurz, błoto poniewierają się po trotoarach i ulicach i czekają zmiłowania magistratu, który od czasu do czasu wysyła na miasto wozy ze szczotkami i sikawkami do zmiatania i polewania ulic.

Przy przejściu koło niektórych bram dolatuje nas niemiły zapaszek... śnać i kanalizacya pozostawia wiele do życzenia.

Wystawy sklepowe—nie umywają się nawet do warszawskich. Wiesz, za czem szczególnie oglądałam się z tęsknotą i to na próżno?—Za składami kwiatów, których w całym Lwowie jest zaledwie parę, pomimo tak wielkiego zmiłowania do zieloności, objawiającej się w dużej ilości skwerów, ogrodów starannie utrzymanych, ogródków etc.

Wchodzimy do sklepu z bucikami. Na wszystkie strony rozlega się: „całuję rączki — całuję rączki — padam do nóg!“

Siłą woli wstrzymujemy uśmiechy i wyrażamy nasze żądanie. Mały chłopak podbiega skwapliwie i z miłym uśmiechem zapytuje:

— Państwo z Warszawy?

— A pan po czem poznał? — pytamy ze zdziwieniem.

— Po bucikach, pani dobrodziko, bo w Warszawie noszą wszyscy buciki z wążkami nosami, a w Galicyi z szerokimi — no i po akcencie...

Nie mogliśmy już wstrzymać się od śmiechu, a rozbawił nas jeszcze więcej czysto lwowski dyalekt, którego nasłuchaliśmy się przez cały czas pobytu w sklepie.

„Proszę ubrać trzewik“ (wziąć na nogę), „ta co“, „ta ty widział“, „ta nie bądź durny“, „ta to całkiem pojedynczy (skromny) bucik“ i t. p. wyrażenia. Przedtem, będąc li tylko pochłonięta miastem i jego zwiedzaniem, nie

zwracałam uwagi na język, dopiero teraz zaczęłam mu się przysłuchiwać; — z tego przysłuchiwania się, jak możesz wnosić z paru przytoczonych zdań, niemiłe odniosłam wrażenie. Na szczęście dyalekt ten jest głównie rozpowszechniony w niższej i średniej klasie ludności—wśród inteligencji spotyka się go rzadziej.

„Całuję rączki“ wita nas również przy wejściu do Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, zawierającego w sobie cenne zbiory dzieł sztuki, wykopalisk, monet, a nadewszystko bogatą bibliotekę, która jest dostępna dla uczącej się młodzieży i badaczy, wraz z czytelnią codziennie otwartą przez parę godzin.

Trudno Ci opisywać szczegółowo owe zbiory, które są istotnymi skarbami, lecz skreślę Ci historię samego zakładu, który mieści się w dawnym żeńskim klasztorze, naturalnie z gruntu przebudowanym podług planu generała Józefa Bema.

Założycielem zakładu był Józef Maksymilian Ossoliński, urodzony w 1748 roku. Przez długie lata nosił się on z zamiarem założenia biblioteki, która początkowo miała stanąć w Zamościu, ale gdy wskutek zmian politycznych umowa z hr. Zamoyskim stała się niemożliwa, Ossoliński obrał Lwów jako siedzibę swej fundacyi.

W 1823 roku między Ossolińskim a księciem Lubomirskim stanęła umowa, na mocy której Henryk książę Lubomirski wcielił swoje zbiory do fundacyi Ossolińskiego pod osobną nazwą „Muzeum Lubomirskich“.

Czytelnia została otwarta dopiero w 1833 roku, ale wkrótce potem rząd zaczął patrzeć na tę instytucję bardzo podejrzliwym okiem, w końcu zamknął drukarnię i litografię, a wszystkie dzieła i broszury kazał poddawać urzędowi rewizyjnemu. Dopiero w kilkanaście lat potem, dzięki staraniom Jerzego księcia Lubomirskiego czytelnia na nowo została otwarta. Książę ten na stałego swego zastępcę wybrał Antoniego Małeckiego, który dotąd piastuje godność wicekuratora zakładu.

Z „Ossolineum“ (skrótowa nazwa fundacyi) udaliśmy się do gmachu sejmowego, imponującego równie wewnątrz jak zewnątrz, dzięki wspaniałej klatce wchodowej, ozdobionej dwiema grupami: Mieczysława z Kazimierzem Wielkim i Jarosława z Włodzimierzem. Olbrzymia sala posiedzeń mieści w sobie 152 amfiteatralnie wzniesionych miejsc dla posłów oraz galeryę i łóże dla publiczności.

Przy tylnej ścianie znajduje się krzesło marszałkowskie, za którem umieszczona jest piękna boazerya z dębowego drzewa z fryzem malowanym przez Henryka Rodakowskiego.

Do art. „Jak budować domy“.



Jak będzie wyglądał dom mieszkalny
za lat sto.

komotywa po głębokiem odetchnięciu poczęła biedz naprzód, wlokąc nas za sobą. Jest pewna ciekawość tego, co się ma w drodze zobaczyć, ale czasem lęk ogarnia, a nieraz i smutek za tem co się zostawia, a co już nigdy może nie wróci —
prawda Martys?

Twoja M. H.

Ś.p.ks. Władysław Seroczyński.

Dnia 2 czerwca zmarł nagle w 64 roku życia proboszcz parafii św. Barbary na Koszykach, kanonik kapituły Łowickiej, ks. Władysław Seroczyński.

Urodzony w Kaliszu, uczęszczał do gimnazjum łomżyńskiego, a już w 23 roku życia w 1865 r., ukończył chlubnie Akademię duchowną. W służbie swej kapłańskiej poświęcił się przedewszystkiem nauczaniu młodzieży i opiece nad jej sumieniem.

Z tego powodu wszyscy młodzi, nawet ci, co już go nie znali — winni z szacunkiem i wdzięcznością wspominać zgasłego niespodzianie kapłana.

Przez lat trzydzieści był zaufanym, ulubionym i wpływowym spowiednikiem kilku pokoleń młodzieży, których serdeczną dobrocią, wyrozumiałością i ojcowską troskliwością umacniał nad duchu, utrzymywał w wierze, dobrych obyczajach i obowiązkach obywatelskich.

Któż ze starszych nie pamięta około Wszystkich Świętych i w czasie spowiedzi wielkanocnej tych sznurów młodzieży w szynelach szkolnych, ciskających się do konfesyonału ks. Seroczyńskiego, zwłaszcza gdy był vice-kustoszem u św. Jana i prefektem w kilku szkołach.

A później jeszcze, gdy zostawszy proboszczem, objął kierownictwo budowy wspaniałego kościoła św. Piotra i Pawła, oraz pieczę o całą parafię, zawsze dla młodzieży szkolnej, dla dawnych swych uczniów znajdował czas wolny i zachowywał nad nimi duchowe swe przewodnictwo, mimo nadwątłego zdrowia i licznych obowiązków dobroczynnych i administracyjnych.

Z prawdziwym i głębokim żalem kreślę te wspomnienia po zacnym kapłanie i obywatelu, po niezrównanym przewodniku kilku pokoleń młodzieży polskiej, a wiem, że żal ten rozlegnie się echem serdecznem po całym kraju, bo niema prawie miejscowości, w którejby nie mieszkał jakiś dawny uczeń lub penitent szanowanego powszechnie ks. Seroczyńskiego. *Ig. B.*



Gmach sejmowy we Lwowie.

Wiersz Kazimierza Laskowskiego (El-a)

do Mateusza Manterysa

Posła z Miechowskiego.

Z czem inni pójdą w nową drogę —
Nie wiem, nie zgadnę, jeno wierzę...
Lecz Tobie, Chłopie, chcę i mogę
Oddać najświętsze swe pacierze,
Byś je pod białą wziął sukmanę
I niósł z własnymi — nieskalane.

Pierś ci odkryję całą, nagą,
Byś ją przeorał do calizny
I brał — i chłopską zważył wagą
Wszystko, co we mnie jest z Ojczyzny,
Wszystko, com kochał najgoręcej,
Od pierworodnej łzy dziecięcej!

Dam ci te pierwsze jutrznie — lata,
Gdym przy opłotnym stawał chróście,
I duszą stał, gdzie niska chata,
A duszę miał jak na odpusście,
Jak wniebowziętą!

Serce biło,
Bo się w niem z Piasta coś już śniło...

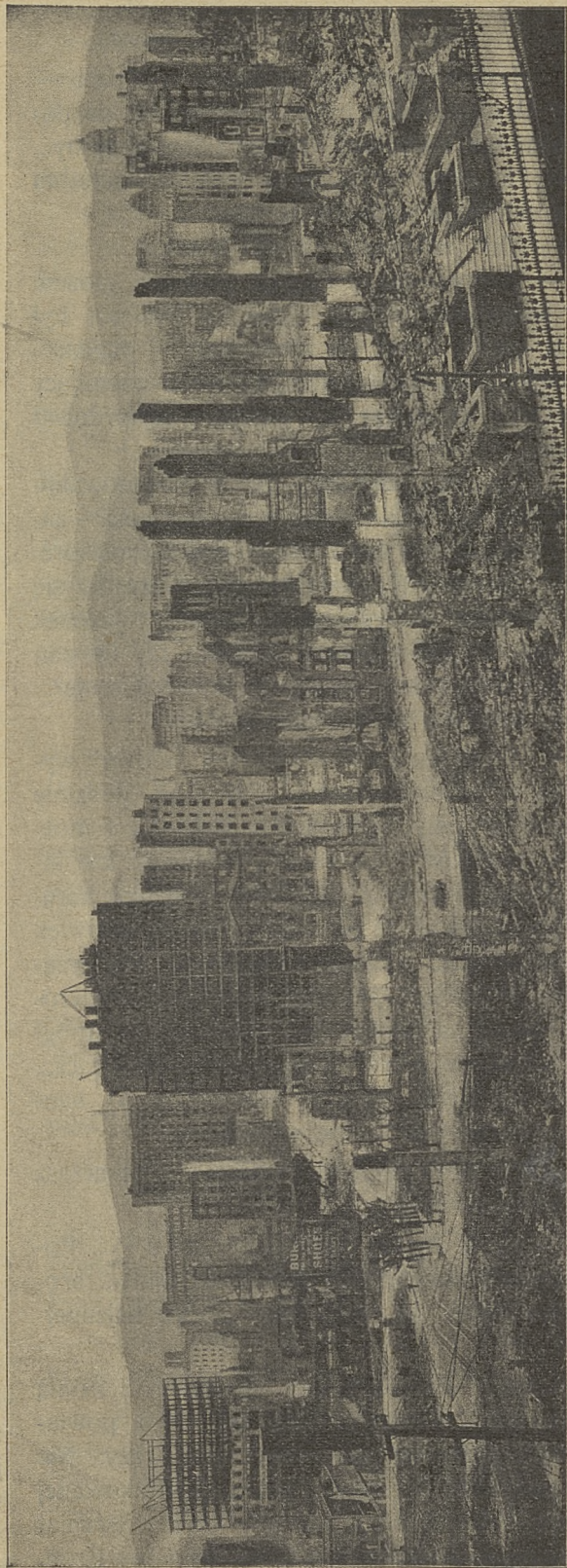
Dam ci tych rojeń pierś otwartą,
Co na Łobzowskie biegly błonie
I przykłękały z dziejów kartą
Przed tym, co w chłopskiej był koronie,
Z wielkim, korzącym krzykiem bólu,
Wielkim jak ziemia: Wróc nam, Królu!

Dam Ci Maj! Majów dam stulecie!
Dam Ci tę Wiosnę, co wiek trwała,
O której śniłem małe dziecię
Co się w marzeniach odradzała
Co rok, łzą szczerą, krwią ofiarną,
Jak to posiane w rolę ziarno!

Dam Ci... nie moje, ale nasze...
Dam Racławickie Ci pagórki!
Gdy ranne słońce je przepasze
Zorzą — ubierze w złote chmurki,
Gdy brzask wśródpołną idzie dróżką,
Jak Anioł z mieczem! lub Kościuszko!

Dam ci, o Chłopie, w nową drogę
To, co już poszło za mogiły,
To, z czego jeno śmierć uleczy —
I własne dzieci dam twej pieczy!

Dam Ci tę przyszłość, którą marzę!
Polskę Ci daję! Polskę Ludu!
Polskę, co z ducha ma ołtarze,
Świątnice z pracy, krzyże cudu!
Boś Ty kapłanem przyszłej chwały!
Ty, Chłopie polski! Orle biały!



Widok San Francisco po trzęsieniu ziemi i pożarze.

JULIUSZ VERNÉ.

✱

Wśród Eotyszów.

Przekł. J. P.

(Ciąg dalszy.)

— Jestem zdziwiony niemniej od pana — odparł Ozolin z lekką ironią. — Właściwie nie powinienem być zdziwiony, raczej zaniepokojony... przecież to mnie obwiniają o spalenie banknotu i wrzucenie tego szczątku do pieca...

— Tak jest, pana — odparł Kerstorf.

— A ponieważ — ciągnął profesor głosem coraz więcej ironicznym — spalony banknot był jednym z tych, które się znajdowały w pugilaresie Pocha, oczywiście zatem, człowiek zajmujący ten pokój — to znaczy ja — okradł i zamordował Pocha?...

— Czy pan znajduje, że w rozumowaniu powyższem jest jakakolwiek niedokładność? — zapytał Kerstorf, nie spuszczać oczu z profesora.

— Bynajmniej, panie sędzio! Wszystko się wiąże ze sobą niesłychanie logicznie... Wniosek pana zupełnie prawidłowy. Tylko... czy mi pan pozwoli rozumowaniu temu przeciwstawić swoje?...

— Słucham pana, panie Ozolin.

— Z szynku „pod złamanym hakiem“ wyszedłem o czwartej rano... Czy o tej godzinie zbrodnia już była popełniona?... Tak — jeżeli mordercą... jestem ja... nie — jeżeli nim jest kto inny... Mniejsza o to... Czy możesz jednak zaręczyć, panie sędzio, że po mojem wyjściu człowiek ten, korzystając z czasu i swobody, nie urządził się w ten sposób, aby podejrzenia skierowane zostały na nieobecnego podróżnego... mógł np. ustawić w kącie skrzywiony pogrzebacz... wrzucić do pieca szczątek niedopalonego banknotu... porysować ścianę zewnętrzną...

— Ze słów pańskich wynika, że oskarżasz pan szynkarza Kroffa.

— Kroff czy nie Kroff, mniejsza o to... Poszukiwanie przestępcy nie należy do mnie... bronię tylko siebie, do czego mam prawo najzupełniejsze...

Kerstorf uderzony był spokojem i ironią Ozolina. To, co dzisiaj słyszał od niego, powtarzał sobie przedtem już wiele, wiele razy. Nie mógł uwierzyć, by człowiek tak nieposzlakowanej uczciwości popełnił tak wstrętny czyn... Skłaniał się do przypuszczenia, że sprawcą tego był Kroff, pomimo, iż oba śledztwa nie rzuciły na niego najmniejszego cienia.

Badanie trwało przeszło godzinę.

— Panie sędzio — zakończył wreszcie Ozolin — to pańska rzecz rozstrzygnąć, na którym

z nas, na mnie czy też na Kroffie, ciąży silniejsze podejrzenie...

O ile mnie się zdaje, każdy człowiek bezstronny oświadczy się za mną... Najsilniejszym, najbardziej obciążającym zarzutem, któryście mnie stawiali był ten, że nie chciałem wyjawić celu mej podróży... Lecz zarzut ten upadł po ukazaniu się Jerzego Sturita, który się dobrowolnie oddał w ręce sprawiedliwości, składając zeznanie wobec przedstawicieli władzy i wzburzonego tłumu...

Zeznanie jego oczyszczało mnie w zupełności... Czy sprawcą jest Kroff, czy też kto inny — nie moja to rzecz — od tego jest policja i sąd... Co do mnie — wina Kroffa nie podlega wątpliwości najlżejszej...

Szynkarz wiedział, że Poch udaje się do Rewla w interesie firmy bankierskiej Johansenów... że grubo wyładowany pugilares jego zawiera znaczne pieniądze... wiedział, że ja zamierzam wyruszyć w drogę o czwartej rano...

Na podstawie tych wszystkich wiadomości mógł obmyśleć dokładny plan swoich czynów, zatarcia śladów i zrzućcia winy na nieobecnego podróżnego... Nie wiem, kiedy stać się to mogło, przed czy po moim wyjściu z szynku... lecz nie wątpię, że skoro tylko stracił mnie z oczu, wszedł do mego pokoju, rzucił do pieca niedopalony banknot, ustawił w kącie skrzywiony pogrzebacz... Jeżeli pan ciągle trwasz w mniemaniu, że sprawcą jestem ja, oddaj mnie pod sąd... W obliczu przysięgłych głosić będę swoją niewinność i oskarżę Kroffa... Jeżeli pomimo to usłyszę wyrok potępienia, będę wiedział ile jest warta sprawiedliwość ludzka...

Urwał. W słowach jego dźwięczało tyle prawdy, że Kerstorf nie przerwał mu ani razu.

Po krótkim milczeniu profesor zapytał:

— Panie sędzio... czy podpisujesz pan rozkaz mego uwięzienia?

— Nie, panie Ozolin — odparł Kerstorf spokojnie.

XIX.

Cios za ciosem.

Wydobyty z pieca zwęglony szczątek banknotu usuwał wszelką możliwość przypuszczenia, że zbrodnię popełnił jakiś rabuś z szajki, operującej w północnych Inflantach. Oczywiście nikt inny nie mógł być posądzony tylko Kroff albo Ozolin. Badanie sądowe musiało się ograniczyć do pilnej obserwacji obu ludzi i wydania wyroku na jednego z nich.

Wielkie było zdumienie szerszego ogółu, gdy okazało się, że pomimo powtórnego śledztwa, sędziego Kerstork nie kazał uwięzić żadnego z przypuszczalnych przestępców. Wzburzenie ogółu

ne potęgowała nienawiść partyjna. Łotysze z zaciętością bronili Ozolina, nie tylko jako swego przywódcę lecz i dlatego, że w winę jego, istotnie uwierzyć nie mogli. Z większym jeszcze zapalem niż poprzednio głosili jego kandydaturę na przyszłych wyborach do rady miejskiej.

Niemcy znowu stanęli po stronie Kroffa.

Ciemna osobistość szynkarza nie mogła budzić szczerzej sympatii — kierowała więc nimi przeważnie niechęć do Ozolina, przeciwnika Johansenów.

Bankier postanowił walczyć do upadłego. Nie szczędził grosza, hojnie opłacając swych stronników i prasę, która domagała się uwięzienia Ozolina i zarzucała władzy stronność i zbyteczną pobłażliwość! Najumiarkowańsze organy żądały uwięzienia obu podejrzanych. Dzienniki zaś łotewskie stanęły w obronie profesora. W wyższych sferach towarzyskich, w klubach, hotelach, restauracjach, w biurach i sklepach toczono spory o Kroffa i Ozolina.

Przy tym nastroju umysłów wydawało się koniecznem wykrycie prawdziwego sprawcy, zanim oba wrogie stronnictwa spotkają się przy urnie wyborczej.

Kroff tymczasem w dalszym ciągu uprawiał swoje rzemiosło. Agenci policyjni przebywali stale „pod złamanym hakiem”. Co wieczora gromadzili się tam drwale i chłopci z sąsiednich wiosek. Kroff usługiwał gościom jak dawniej, spostrzegano jednak u niego pewien niepokój.

Pozostawienie profesora na swobodzie wytrąciło go z równowagi. Z coraz większą zaciętością oskarżał Ozolina. Unikał spojrzeń badawczych i wpadał w zacieklność w razie nawet najłżejszej obrony profesora.

W domu tego tymczasem pomimo zbliżającego się dnia ślubu Marty i przygotowań weselnych panował nastrój smutny. Przygnębienie Matiasa odbijało się na wszystkich obecnych.

Od czasu ostatniego badania w kancelarii Kerstorfa minęło dni siedem.

Nazajutrz upływał termin spłaty Johanse-
nom 18000 rubli. Dumni bankierzy wyczekiwali dnia tego z gorączkowym niepokojem. Albo Matias Ozolin pieniędzy tych nie posiada wcale — i w takim razie czeka go upokorzenie niechybne, nawet gdyby niewinność jego w sprawie Pocha została udowodnioną; albo też sumę żadaną wypłaci i wtedy oskarży się sam.

Wiadomo było powszechnie, że profesor utrzymywał się z lekcji — w ten sposób zaś nie gromadzi się tysięcy, — pieniądze zatem, które mógłby złożyć w banku byłyby niewątpliwie zdobyte drogą kradzieży. W razie spłaty długu Ozolin zgubi siebie bezpowrotnie; nie uratuje go ani przeszłość bez zarzutu, ani nawet przychyłność sfer rządzących.

Ranek upływał na oczekiwaniu daremnie: Ozolin nie stawiał się w banku.

Po południu około godziny czwartej w mieszkaniu profesora zjawił się woźny i doręczył Jerzemu zawiadomienie bankowe.

Nieszczęściem Jerzy przeczytał je. Zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo grozi profesorowi i postanowił ratować go. Miał przecież z dziedzictwa po ojcu 20000 rubli, które Ozolin zwrócił mu w Parnawie!

Było już około 5-ej. Bank zamykano o godzinie 6-ej.

Jerzy, nie tracąc chwili, udał się do swego pokoju, wyjął z biurka pieniądze i wyszedł na ulicę.

Zaraz na wstępie spotkał Jana i Martę, którzy wracali właśnie do domu.

— Odchodzisz, Jerzy? — zapytała Marta podając rękę narzeczonemu.

— Tak, droga Marto, nie na długo jednak. Przy obiedzie zobaczymy się.

Zawahał się chwilę... A może powiedzieć Marcie, dokąd i w jakim celu udaje się? Lecz nie! Lepiej wyznać prawdę po ślubie. Teraz Marta będzie się czuła zmieszana, a potem, niewątpliwie wdzięczną mu będzie, że kosztem ich wspólnego dobrobytu uratował spokój ojca.

— Spiesz się, Jerzy — odezwała się serdecznie — i wracaj prędko... Przy tobie czuję się odważniejszą... Tak się zawsze boję o ojca...

— Dzisiaj jest znowu smutniejszy, więcej przygnębiony niż zwykle — zauważył Jan, a oczy jego błysnęły gniewem... — Stanowczo jest chory... Ci nędznicy doprowadzą go wkrótce do śmierci...

— Przesadzasz Janie — zaprzeczył spokojnie Jerzy. — Ojciec twój ma dużo hartu i tak łatwo nie ulegnie w walce.

— Oby się twe słowa spełniły, Jerzy! — westchnęła Marta.

Jerzy ścisnął jej dłoń i dorzucił:

— Miejmy nadzieję!... Zobaczycie, że za dni kilka wszystkie troski skończą się pomyślnie — i pożegnawszy się, szybkim krokiem podążył do banku. Kasa była jeszcze otwarta.

Jerzy zbliżył się do okienka i podał otrzymane przed godziną zawiadomienie.

Kasjer odpowiedział, że w sprawie tej wypłaty powinien się zwrócić osobiście do pryncypała. Woźny zaprowadził Jerzego do gabinetu braci Johansenów.

— Jerzy Sturit! — zawołał starszy brat, rzucając okiem na bilet wizytowy, który mu podał woźny — pewnie przychodzi w imieniu Matiasa Ozolina prosić o prolongatę...

— Ani na godzinę — przerwał bankier Franciszek. — Jutro rozpoczniemy kroki sądowe! ۱۱۱

W tej chwili Jerzy wszedł do gabinetu.

— Panowie — odezwał się — przybywam w sprawie Matiasa Ozolina... dzisiaj wypada termin wniesienia do banku 18000 rubli.

— Istotnie — odparł Franciszek Johansen — ...które Matias Ozolin — ciągnął dalej Jerzy — zobowiązał się wypłacić dla pokrycia długu, zaciągniętego niegdyś przez jego ojca...

— Tak jest — odparł bankier — muszę jednak uprzedzić pana, że prolongaty udzielić nie możemy...

— Nikt jej od panów nie żąda — rzucił dumnie Jerzy.

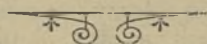
— Tak? — zapytał starszy brat ze zdumieniem. — Właściwie jednak powinni byliśmy otrzymać te pieniądze dziś przed południem...

— Otrzymujecie je panowie przed 6-tą wieczor... I mam nadzieję, że zwłoka ta nie wpłynie ujemnie na sprawy firmy... prawdopodobnie bank z tego powodu wypłat nie zawiesi...

— Panie! — przerwał gwałtownie Franciszek, podrażniony ironią Jerzego. — Przynosisz pan więc 18000 rubli?

— Nieinaczej — odparł Jerzy, rzucając na stół paczkę banknotów. — Proszę o weksle!

(d. c. n.)



Archeolog w opałach.

Krotochwila w I akcie.

O S O B Y:

Jan Zapiecki, Krystyna jego żona, (Ludwik lat 19 Jadwiga lat 17, Marynia lat 15, Kazia lat 13) rodzeństwo mieszkające na stacji u pp. Zapieckich, dr. Adam Muniwicz — młody uczony.

Rzecz dzieje się we dworku pod większym prowincjonalnem miastem.

(Scena przedstawia pokójumeblowany po staroświecku).

SCENA I.

Jadwiga, potem Marynia i Kazia.

Jadwiga idąc od drzwi z zapieczętowanym listem w ręce).

Od kogo ten list?... (zamyśla się):

Manusia i Kazia (wbiegają z krzykiem).

List! list! od kogo list?!...

Jadzia. Przedewszystkiem nie krzyczcie tak... a potem zobaczmy... (otwiera i patrzy na podpis) Od Ludwika..

Marynia i Kazia. Od Ludwika?...

Jadzia. Tak...

Marynia. I co pisze?...

Jadzia. Słuchajcie... (czyta).

Kochane moje i drogie Siostry!...

Siedzę w tym hotelu już 3 tygodnie i czekam, co z tego wszystkiego będzie... Myślałem, że p. Zapiecki, nasz mentor i opiekun, nareszcie zrozumie, że skoro król Popiel był p. był jeden, przeto i jego czcigodne (a raczej przeklęte) popioły, również tylko jedne być mogą... Tymczasem on uważa, że można widocznie dwa razy umrzeć i dwa razy być spalonym, skoro nie chce mi przebaczyć tego nieszczęśliwego wypadku. Ale cóż ja jestem temu winien?... Przysnajcie same?... Wreszcie bierz lichy i prochy i wszystko, gdyby nie gniew ojca i zmartwienie mamy, którzy nie chcą nawet słyszeć o przeniesieniu się mojem na inną stancję. „Musisz wrócić i basta“ — napisał mi ojciec, a jakże ja mogę wrócić, skoro pan Zapiecki, jako warunek konieczny i nieodwołalny postanowił zwrot urny Popiela i jego prochów! Po długim namyśle postanowiłem, moje siostrzyczki kochane, co następuje: Ponieważ dłużej mieszkać w hotelu z bardzo wielu względów, bo i pieniędzy już nie mam, nie mogę przeto dzisiaj — t. j. dnia, w którym odczytacie ten list, wracam do państwa Zapieckich i niech się dzieje wola nieba!...

Marynia (przerażona) Boże! co on pisze... Jadziu?...

Jadzia (czytając dalej). Żeby jednak nie wpaść na pierwszy gniew pana Zapieckiego, postanowiłem się przebrać, a to w tym celu, aby jakimś sposobem przygotować go do mojego powrotu... Darujcie więc kochane siostrzyczki, że ten, a nie inny sposób wybrałem... ale już doprawdy sprzykrzyło mi się życie w takich jak obecnie warunkach... Teraz żegnajcie..., i starajcie się dopomóc mi, co wam się udać może, przy współudziale zacnej pani Zapieckiej...

Całuję Was i ściskam

brat *Ludwik.*

I cóż wy na to?!...

Marynia. Boże, co to będzie...

Kazia. Ależ on tu przyjść nie może...

Jadzia. Przecie najlepiej będzie, jak pan Zapiecki przestanie się na niego gniewać.

Marynia. Zapewne, ale niestety, według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy tego nie uczyni.

Jadzia. Dlaczego?

Kazia (ze smutkiem). Takiej wielkiej krzywdy, jak stłuczenie urny z popiołami króla Popiela...

Marynia (kończąc). Pan Zapiecki nigdy nie daruje.

Jadzia. Ależ moje kochane, przecież w tej urnie nie było żadnego popiołu...

Marynia (ze smutkiem). Owszem, był tam jakiś... wreszcie pan Zapiecki kochał poprostu

tę urnę—to było najcenniejsze wykopalisko w całych jego zbiorach...

Kazia. Tak, takiej szkody nigdy mu nie przebaczy...

Jadzia. Ale weźcie i to pod uwagę, że Ludwik tego nie uczynił umyślnie? Poprostu wypadek! wypadek, który każdemu zdarzyć się może... A przecież pan Zapiecki sam nie dalej jak wczoraj tak uderzył kłapką w muchę, siedzącą na lampie... że piękna lampa stłukła się w drobnuteńki maczek...

Kazia. Tak, ale to była tylko lampa, nie wykopalisko nadzwyczajnie cenne... Ba, żeby można było wreszcie kupić gdzie drugą taką urnę z popiołami króla Popiela.

Jadzia. W tej chwili chodzi nie o to, co on stłukł, tylko o sam fakt. Co zaś do wartości to powiem wam, że Ludwiczek...

Siostry (razem). Ludwiczek? co Ludwiczek?

Jadzia (dobitnie). Powiedział, że te wszystkie zbiory nie warte są trzech groszy...

Marynia. Cicho! gdyby to p. Zapiecki usłyszał...

Jadzia (podrażniona). A niech słyszy, właśnie niech słyszy! Poprostu, on nie jest prawdziwym uczonym, on tyle się zna na archeologii, co ty i ja. To jego dziwactwo, i wstyd się o takie skorupy gniewać. Wreszcie tu chodzi o Ludwika i o nas, rodzice koniecznie wymagają pogodzenia się.}

Kazia (smutnie). On Ludwika nie przyjmie i będzie straszna awantura...

Jadzia. Ha trudno... gdzie drwa robia — wióry lecą...

Kazia. Ja się boję... boję się ogromnie, boję...

Jadzia. Czego?...

Kazia. Tego spotkania...

Jadzia. Żarty — wreszcie będzie przebrany — żeby go tak odrazu nie poznał... Rozumiecie? Pierwszy gniew najstraszniejszy, jak z nim trochę porozmawia... nie będzie pewny, będzie się czegoś domyślał — coś podejrywał, a tymczasem my uczynimy agitację i przeciągniemy na swoją stronę p. Krystynę, a wtedy pan Zapiecki dostaje się w dwa ognie i oczywiście — skapituluje!...

Kazia. Brawo!...

Marynia. Zipciu — złota, ty tak wszystko różowo widzisz — a tymczasem jedno niepowodzenie może zupełnie plan pokrzyżować...

Jadzia. Trzeba jednak ryzykować.

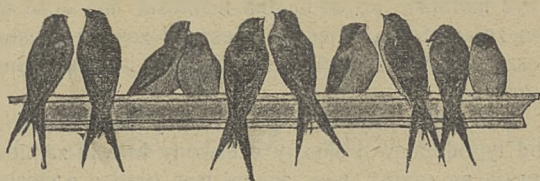
Marynia. Naturalnie Ludwik nie może siedzieć w tym hotelu, wreszcie do czego to podobne...

Kazia. A jak nie uczyni tak jak tatuś razi i nie przeprosi się z p. Zapieckim może tu z głodu umrzeć i nie dostać... roweru na wakacje.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Samochodem do bieguna. Henryk Arctowski, rodak nasz, który odbywał podróż do bieguna połud. na statku „Belgica“ i powziął śmiały zamiar odbycia podróży do bieguna połud. samochodem, podaje ciekawe objaśnienia do swego planu. Od naturalnych przystani morza Południowego ciągnie się, według obserwacji dotychczasowych, rozległe pole gładkiego lodu, wolne od szczelin i wyłomów; słowem takie równe, jak staw zamrożony. Jazda po tem polu trwała jednakże dotychczas tak długo, że badacze wracali od połowy drogi, np. kapitan Scott, który obawiał się śmierci głodowej. Scott przebywał 17 klmtr. dziennie, saniami w psy zaprzężonymi. Arctowski przypuszcza, że odbędzie tę podróż dziesięć razy prędzej, tak, że mu środki żywności wystarczą. Samochód, przeznaczony do tej podróży, będzie miał koła na stopę szerokie, opasane skórą i nabijane długimi, wystającymi gwoździemi. Grono fachowców obraduje obecnie nad budową samochodu i urządzeniem ogrzewania. Jeśli Arctowski dotrze do bieguna, to niewątpliwie zdobędzie cenne przyczynki do geograficznych i fizycznych wiadomości o strefie podbiegunowej.



Skrzynka do listów.

Kiedy otworzyłam dzisiejszą skrzynkę, aż uśmiechnęłam się mimowoli do listów, które z niej wypadły. Bo nie były to korespondencje staruszek, jak w przeszłym tygodniu, o różnych ważnych sprawach pisane, tylko dużo kochanych małych liścików od drobnych pisklatek, co jeszcze niewprawną ręką trzymają pióro, a jednak umieją serdecznie i miłutko świergotać do Jaskółki, więc Jaskółka do swej rzeszy, z odpowiedzią chętną śpieszy.

Sto całusów dziobkiem chwyta
I o zdrowie piskląt pyta,

Szczęśliwa Jaskółka! Ludzie, gdy chcą perłę wydobyc z morza, muszą przywdziewać na siebie niewygodny strój nurka, a potem skakać w głąb wody, czasem nawet walczyć ze szkaradnymi potworami, tymczasem mnie ptakowi udało się wyłowić ze skrzynki dzisiejszej miłutką perełkę, jakże nie mam się cieszyć tą drogą zdobyczą.

Odpowiadam więc najprzód *Perelce* kochanej, że niesłusznie gani swoją kaligrafię, gdyż list napisany jest starannie i mała rączka namozoliła się pewnie, nim tyle literek skreślić zdołała. Wszystko, co piszesz, bardzo mnie zajmuje, bo lubię kotki, chociaż one często łapią ptaki, a ja przecież jestem jaskółką. Najbardziej jednak pragnęłabym poznać waszą Lalutkę, donieś mi

w następnym liście czy twoja siostrzyczka chętnie bawi się z tobą i jak? Może klaszczecie rączkami i ty jej śpiewasz: kosi kosi łapki, pojedźmy do babki. A może Lalutka pokazuje sroczkę, co to kaszkę warzyła i ogonek sparzyła. No, czy zgadłam, donieś, tymczasem dajcie mi obie z Wilią całusa na zadatek dalszej przyjaźni.

Jakże mi cię żal biedna *Łyżwo*, a żal mi i sz. twoich rodziców. Chorować dwa razy i to chorować na wiosnę, kiedy każdy rad śpieszy do ogrodu! Prawdziwie zasługujesz, żeby choć jaskółki fruwały około okna kochanej chorej i jabym chętnie poleciała z niemi, a że przyznać się muszę, jestem z gatunku ciekawych ptaków, zająrałabym może przy tej sposobności do gabinetu twego tatusia, aby się dowiedzieć o jakiej nowej mądrej pracy, podjętej na pożytek kraju. Czy mi otworzysz okienko, gdy do niego zapukam?

Anielka, *Lala* i *Zosia* piszą, że kochają wszystko, co polskie i chcą pomagać biednym, których tak wielu jest u nas. Musiałabym być najszkaradniejszym z ptaków, puhać czy może okrutnym jastrzębiem, żeby na takie miłutkie słowa nie odpowiedzieć pieszczotą i prośbą o dalsze listy do Jaskółki. Więc też tysięcy pieszczot ślę wam dziewczynki drogie, co zaś do przysyłania pieniędzy, to redakcja «Wieczorów» pośredniczy chętnie w ich odbiorze i rozdawaniu prawdziwie potrzebującym biedakom.

Wiedziałam *Smółko różowa* o wyjeździe twojego kochanego tatusia, ale pożegnać go nie mogłam, niech cię dziecino pociesza myśl, że tatuś spełnia obowiązek dobrego Polaka. A ty *Smółko* czy wiesz, jaką dobra Polka być powinna, i jaką ty pewnie być się starasz? Oto dzielną i odważną, nigdy nie grymasić, nigdy nie męczyć mamusi, bo ta biedna mamusia ma dość własnego zmartwienia, więc ty śpiesz jej zawsze z usługą, z pieszczotą, z rozweseleniem. Czy taką jest moja *Smółka* kochana.

Smutno mi myśleć o tobie biedny *Obłoczku*, wiem, że od tygodnia twój śliczny czerwony krawat zamieniła Mamusia na czarny, więc żal mi was obojga z siostrzyczką i obojgu ślę wyrazy współczucia w waszym smutku za dziadzią.

Masz słuszność *Gałązko Bluszczu*, zgadzam się zupełnie z tobą na sąd, dlaczego tak bardzo podobają nam się poezye Mickiewicza, pragnęłabym aby polska młodzież rozmiłowała się w nich więcej niż kiedykolwiek teraz, kiedy wszystkie nasze uczucia odrodzić trzeba, i obudzić do silnego obywatelskiego i narodowego życia. Błędów nie spotkałem w twoim liście, był starannie napisany i miły, oby jaknajwięcej takich odbierać.

Nie mogę tego powiedzieć o listach *młodzieży z Nieżyna*, wrzuciłam je do kosza, mając nadzieję, że może nareszcie zrozumieją wszyscy, na listach tych podpisani korespondenci, obowiązek starannego, rozsądnego i właściwego odnoszenia się do osób starszych. Życzę im tego całym sercem

Jaskółka.



Kalendarzyk historyczny.

Czerwiec, od 1-go do 30-go.

- 3 — 1605. Zgon kanclerza Jana Zamoyskiego w Zamościu.
- 4 — 1611. Wzięcie Smoleńska.
- 4 — 1872. Zgon Moniuszki.
- 6 — 1794. Bitwa pod Szczekocinami.
- 7 — 1492. Zgon Kazimierza Jagiellończyka w Grodnie.
- 17 — 1696. Zgon Jana III Sobieskiego.
- 18 — 1574. Ucieczka Henryka Walezyusza z Polski.
- 19 — 1205. Zwycięstwo pod Zawichostem.
- 23 — 1767. Konfederacja Radomska.
- 29 — 1651. Zwycięstwo pod Beresteczkiem.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Trafne rozwiązania łamigłówek z ostatnich numerów nadesłali: Mania Majkowska, Zosia Kozłowska, Józef Jurkowski, Stefan Olszewski, Genia Domczycka, Kocio Komierowski, Wiosenny Dzionek, Zbyszko R., Oleś Majewski, Kazio N., Irenka z Bystrampola i Murdelio.

Olgierdowi z Wilna. Jeżeli nie masz kompletnego wydania pism Syrokomli, to może sam albo kto z kolegów posiada «Wypisy polskie» Bądkiewicza (część średnia). Gawędę «Garść pszena» znajdziesz w tej książce.

Zadania i łamigłówki nadesłane przez pochmurnego Sępa, Kocia Komierowskiego, Sprzeczalską i Wiktora Z. zaliczone zostały do druku.

Czerwonemu kapturkowi. Naprzód nie możemy nie obiecać, dopiero po otrzymaniu damy odpowiedź stanowczą.

TREŚĆ:

Jak budować dom, przez St. Br. (z ryc.). — Wspomnienia z lat młodości, przez St. Br. — Listy ze Lwowa (z ryc.). — Wiersz Kazimierza Laskowskiego (El-a) do Mateusza Manterysa. — Widok San Francisco po trzęsieniu ziemi i pożarze (z ryc.). — Wśród Łotyszów, przez J. Verne'a. — Archeolog w opalach, (krotochwila). — Ze świata. — Skrzynka do listów. **Dodatek:** Feniks i dywan czarodziejski (z ryc.). — Chronologia Królów Polskich przez Aryelę. — Rozmowa z krukami, przez Julję Piasecką. — Zadania i łamigłówki.

Salta. Gra towarzyska kombinacyjna dla 2-ch osób, z których jedna dostaje 15 kamieni z rysunkami, druga zaś 15 kamieni z arabskimi cyframi. Gra odbywa się na szachownicy o 100 polach. — Cena w ozdobnym pudełku z objaśnieniami rb. 1. — Do nabycia w kantorze wydawnictw *Wiśniakowskiego i Sp.* w Warszawie, Jerozolimska 25, m. 20, oraz w księgarniach i składach zabawek. Handlującym rabat.

Uwaga. Zamieszkaliśmy poza Warszawą wysyłamy za zaliczeniem, każdą zażadana książkę dzieciinną, lub zabawkę. Wystarcza podanie nazwy przedmiotu i przybliżonej ceny.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek. OGŁOSZENIA: po 15 kop. wiersz 1-osp. petitu. ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

FENIKS

i Dywan czarodziejski.

(Ciąg dalszy.)

— Dajmy pokój kradzieży — to jest wyprawa dla odebrania naszej własności — dopóki nie spróbujemy innych sposobów. Zadzwońmy i powiedzmy, że chcemy się widzieć z panią Bridle.

Reszta dzieci nie miała na to ochoty, lecz w końcu wszyscy zgodzili się, pod warunkiem, że Antea nie będzie się opierała „rabunkowi“, jeżeli zajdzie konieczność uciec się do tej ostateczności.

Dzieci zastukały i zadzwoniły: otworzyła im bardzo nieprzyjemna kobieta, a gdy zapytały o panią Bridle, zobaczyły ją samą. Stała właśnie w jadalnym pokoju, gdzie odsunęła stół i rozłożyła dywan, żeby się przekonać, jak będzie wyglądał na podłodze.

— Byłam pewna, że to nie do pokoju służących — szepnęła tryumfująco Kizia.

Antea wyminęła niemłą kobietę, a za nią poszło rodzeństwo. Pani Bridle była odwrócona tyłem do drzwi, i prostowała dywan tą samą nogą, którą nadepnęła w rękę Roberta.

Dzieci weszły do pokoju, gdy zanim spostrzegła je, Cyryl z wielką przytomnością umysłu zamknął drzwi do sieni.

— Kto tam jest, Saro? — zapytała kwaśno pani Bridle.

Odwróciła się i — zobaczyła, kto jest w pokoju. Twarz jej zrobiła się czerwona — zupełnie czerwona.

— Znowu wy, bezczelne, zuchwałe dzieciaki! — krzyknęła. — Jak śmiecie wchodzić do mego domu? I to o takiej późnej godzinie! Wynście się zaraz, bo każę was wyrzucić!

— Niech się pani nie gniewa — zaczęła pojednawczo Antea. — Przyszliśmy tylko prosić, żeby nam pani odprzedała ten dywan. Mamy dwanaście szylingów...

— Jak śmiecie! — krzyknęła pani Bridle, głosem drżącym z gniewu.

— Pani strasznie wygląda! Cała sina — odezwała się niespodziewanie Kizia.

Pani Bridle tupnęła i zawołała:

— Ach! ty bezwstydnny, zuchwały dzieciaku!

Antea porwała Kizię za rękę, ale Kizia nie zważając na nic, mówiła dalej:

— To jest dywan z naszego pokoju! Niech pani zapyta, kogo chce, czy to prawda...

— Wracajmy do domu! — szepnął Cyryl.

— To na nic! — odszepnął Robert. — Dogoni nas i tam...

— Pragnę, żeby pani Bridle stała się grzeczna i dobra! — zawołała nagle Antea, dotykając dywanu i dodając w duchu: „warto spróbować“...

Twarz pani Bridle z czerwonej zrobiła się purpurowa, z purpurowej blado różowa, uśmiechnęła się słodko.

— Już jestem dobra! — zawołała wesoło. — Co za zabawny pomysł! Dlaczego nie miałabym być dobra, moje dzieci?

Dywan i tym razem zrobił swoje — bo i gniew dzieci tak rozwiął się odrazu, i uczuły wszystkie, że są grzeczne i szczęśliwe.

— Widzimy, że pani jest dobra — zaczął Cyryl. I bardzo nam przykro, żeśmy się z panią sprzeciali dziś wieczorem na bazarze...



Więc przez cały tydzień nie będziemy podróżowali, — rzekł Robert,

— Dajmy już temu pokój! — odpowiedziała odmieniona pani Bridle. Naturalnie oddam wam dywan, moi drodzy, kiedy wam tak bardzo o niego chodzi... Nie! nie! Nie wezmę nic więcej oprócz tych 10-iu szylingów, które za niego dałam.

— Może pani uważa, że to dziwne żądanie napierać się dywanem, który pani kupiła — usprawiedliwiała się Antea. — Ale to naprawdę jest dywan z naszego pokoju... Dostał się przez pomyłkę do bazaru — z innymi rzeczami...

— Doprawdy? — zapytała łagodnie pani Bridle. — To przykra pomyłka. Mogę łatwo rzec się tych dziesięciu szylingów: to będzie moja ofiara na biednych. Zabierzcie sobie dywan i koniec... A może po kawałku ciasta przed odejściem? Tak mi przykro, że nadeptałam ci na rękę, mój mały!... Czy cię już nie boli?...

— Nic a nic! — upewnił Robert. — Pani jest taka dobra! Dziękujemy bardzo...

— Niema za co! — odrzekła serdecznie pani Bridle. — Bardzo mi miło, że mogłam zrobić przyjemność takim grzecznym dzieciom.

I pomogła im zwinąć dywan, który chłopcy wzięli za oba końce.

— Dziękujemy pani serdecznie! — powiedziała Antea, a pani Bridle ucałowała ją na pożegnanie.

* * *

— No! przecież! — westchnął Cyryl z uczuciem ulgi, kiedy wyszli na ulicę.

— Tak! — odpowiedział Robert — a najdziwniejsze to, że nam się zdaje, że ona jest naprawdę dobra, to jest, chciałem powiedzieć, że to nie dywan tak ją ułagodził, ale że sama z siebie to zrobiła...

— A może ona i dobra — zaczęła rozważać Antea — tylko jej dobroć znika skutkiem zmartwień, zmęczenia i kłopotów — a to wszystko nasz dywan wygładził?

— Mam nadzieję, że już taką zostanie — odezwała się z kolei Kizia. — Ona nawet wcale nie jest brzydka, kiedy się uśmiecha...

Dywan tego dnia dokonał niemało cudów — ale najwidoczniejszym z nich była zmiana w pani Bridle, bo od tego dnia przestała być gniewliwa, a kiedy się dowiedziała że miss Peasmarsh wychodzi za owego młodego pana, posłała jej podarunek: srebrny imbryczek do herbaty i list bardzo uprzejmy, a stało się to zaraz po Wielkiejnocy, o czem dowiedziała się i Kizia.

V.

Dobry uczynek.

— Więc przez cały tydzień nie będziemy mogli podróżować na dywanie — powiedział Robert.

— A ja się z tego cieszę — odezwała się Kizia.

— Cieszysz się? — powtórzył Cyryl. — Ty się cieszysz?!

Dzieci siedziały przy śniadaniu, a na stole — przeczytany już przez wszystkich — leżał list mamusi z wiadomością, że mają pojechać na święta do ciotki na wieś, gdzie przyjadą też na parę dni mamusia i tatuś. List leżał najspokojniej, pijąc jednym rogiem tłuszcz ze smażonej słoniny, a drugim jedząc marmoladę z jabłek.

— Tak! cieszę się... — powtórzyła Kizia. — Mam już dosyć tych nadzwyczajnych przypadków... Chcę, żeby to, co jest, było prawdziwe, a nie takie tylko przywidzenia!

— A mnie to martwi, że mam tajemnicę przed mamusią — dodała Antea. — Sama nie wiem dlaczego, ale zdaje mi się, że jestem fałszywa i samolubna...

— Żeby nam się udało przekonać mamusię, tobyśmy ją mogli wozic do najpiękniejszych krajów — przemówił zamyślony Cyryl. — A tak to my naprawdę jesteśmy fałszywi i samolubni... To jest nie jesteśmy — ale nam się tak wydaje...

— I ja wiem, że nie jesteśmy, ale czuję, jakby to tak było, a to zupełnie toż samo — dodała Antea.

— To nawet gorzej! — zrobił uwagę Robert. — Gdybyśmy naprawdę byli tacy a nie czuli tego, byłoby nam lepiej.

— Tak robią tylko zbrodniarze, — mówił nam kiedyś tatuś — objaśnił Cyryl

Wziął potem list mamusi i wytarł starannie oba rogi chusteczką, która miała taki nieokreślony kolor, że nie mogła jej zaszkodzić już ta odrobina słoniny i marmolady.

— Jedziemy dopiero jutro — zauważył dobroduszenie Robert. — Nie bądźmy niewdzięczni za to, co mieliśmy z łaski tego dywanu, i nie zmarnujmy całego dnia na zastanawianiu się, jaka to okropna rzecz mieć tajemnicę przed mamusią, bo przecież Antea próbowała wszystko opowiedzieć, ale mamusia nie chciała słuchać. Siadajmy na dywanie i poprośmy o spełnienie jakiego życzenia. Będziemy mieli cały przyszły tydzień na żałowanie tego, cośmy zrobili...

(d. c. n.)



Chronologia Królów Polskich.



Konrad Mazowiecki.

(C. d.)

(Sprowadzenie Krzyżaków 1226 r.)

Konrad, brat Leszka Białego
Mazowiecką dzierży ziemię,

Kędy wciąż najazdy czyni
Od północy pruskie plemię.

Trwa w pogaństwie i zbójnictwie
Sąsiad bitny i niemiły...
Czemuż go nie pokonały
Połączone Polski siły!

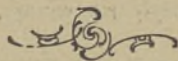
Za namową Piasta z Śląska,
Co przed Niemcem się uniża,
Konrad wzywa przeciw Prusom
Niemieckich rycerzy Krzyża.

Krzyż na płaszczu i na tarczy,
Ale w sercu fałsz i zdrada;
Stokroć gorszy sprowadzony
Ów obrońca—od sąsiada.

Nie o wiarę szło mu pogan,
Nie o duszę i sumienie,
Lecz o władzy zagarnięcie,
Lecz o zabór i niemczenie.

Jakiś zadał cios ojczyźnie,
Nie przeczuleś, o Konradzie!
Lecz źle czyni, kto obronę
Własną w rękę obcych kładzie.

Aryela.



Rozmowa z krukami.

Przy drodze, którą Michaś przechodził codziennie do szkoły, rosło duże, rozłożyste drzewo, a na niem kilka kruków usłało sobie gniazda. Michaś przyglądał się często czarnym ptakom, jak kracząc przeskakiwały z gałązki na gałązkę, prowadziły z sobą niezrozumiałą dla niego rozmowę a kruki znów, widząc spokojnie przechodzącego chłopca, lub przyglądającego im się z uwagą, oswoiły się tak dalece, że go się wcale nie bały i często kiwały łebkami przyjaźnie i krakały, co miało pewnie znaczyć.

— Szczęśliwej drogi, chłopczyku! Życzymy ci dobrej nauki!

Dnia pewnego, a było to w maju, słońce słicznie, jasno świeciło, w powietrzu płynęły wonie od rozwijających się liści i kwiatów, Michasiowi nie chciało się iść do szkoły. Stał pod drzewem i począł przyglądać się krukom, które znosiły patyczki, słomki, stare gałgany do naprawienia zeszłorocznych gniazd.

Tak go to zajęło, że rzucił książki, usiadł na ziemi, a później nawet położył się i śledził bacznie robotę.

Wśród skrzydlatej rzeszy powstało z tego powodu ogromne zaciekawienie. Coraz to któryś kruk zerknął na leżącego chłopca, coraz to któryś skoczył na niższą gałązkę, by mu się lepiej przyjrzeć.

— Słuchaj, co tu robi ten mały — pyta jeden drugiego, trącąc nieznacznie towarzysza — dlaczego nie idzie do szkoły, tak jak zazwyczaj?

— Nie wiem — odpowiada zagadnięty, ale można go o to spytać.

Ciekawy kruk zeskakuje jeszcze niżej, siadł tuż, tuż nad głową Michasia.

— He, he, mały przyjacielu, co cię tak zaciekawia, czy nie masz czasem ochoty usłać sobie też gniazdo w bliskości naszych?

Michaś się śmieje!

— O nie, panie kruku, gniazda dobre dla was, ale nie dla mnie. Ja mam dom!

— Dom? A czy go sobie sam wybudowałeś?

— Sam? Czyż nie widzicie, że jestem mały chłopiec? Nie potrafiłbym domu wybudować!

A gdy kruki zaczęły łebkami kiwać, dodał szybko.

— Ale ja się nauczę; jak będę duży, sam sobie dom wybuduję, zostanę budowniczym!

Kruki zdziwione są tem, co słyszą.

— Gdy będziesz duży? ale ty przecież jesteś teraz ogromny w porównaniu z nami — z ciebie jednego, mogłoby być najmniej dwadzieścia kruków!

A drugi kruk dodał:

— Ty chyba musisz bardzo dużo jeść? Skąd bierzesz pożywienie?

— A mamusia mi daje!

— Widzisz, matka go jeszcze karmi — mówi jeden do drugiego, to musi być ludzkie piskie!

I najsłodszy głosem, na jaki kruk zdobyć się może, dodaje:

— Aha, rozumiem, ty jesteś jeszcze dziecko, małeńkie dziecko.—Michaś zrywa się na równe nogi, czerwony z oburzenia.

— Co, ja dziecko?

I chwycił duży kamień, chcąc nim rzucić w śmiałego kruka, ale ten pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Dajże spokój, nie gniewaj się i nie rzucaj kamieniami, bo to bardzo brzydka zabawa! Ja tylko dlatego powiedziałem, że jesteś pewnie małym dzieciątkiem, bo my tylko małości karmimy; jak podrosną i umieją latać, to sobie same muszą wyszukiwać pożywienia.

— No, to i ja, gdy urosnę będę zarabiał na własne utrzymanie, ale teraz jeszcze nie umiem, muszę się uczyć.

